płomyczek DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 1—15.IX.1987 17

Bibl. Wyt

Fot. Ryszard Kreyser

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

— Może teraz sobie przypomnisz, kto poniósł klęskę pod Waterloo?

— Zawsze, gdy patrzę na tablicę, robi mi się czarno przed oczyma...

— A teraz opowiem wam coś z historii starożytnej!

A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ●

RZEKI w naszym kraju płyną na północ i kończą swój bieg w Bałtyku lub w większych rzekach do niego wpadających. Tylko jedna rzeka zmierza w odwrotnym kierunku. Nazywa się Strwiąż. Wypływa w Bieszczadach w okolicy Ustrzyk Dolnych i swój bieg kończy w Dniestrze, rzece wpadającej do Morza Czarnego.

●

CO ROKU owady, gryzonie, różne grzyby i pasożyty niszczą na kuli ziemskiej 75 miliardów ton zboża. Ilość ta mogłaby wyżywić przeszło 200 miliardów ludzi.

●

LUDZIE żyją coraz dłużej. W starożytnej Grecji człowiek żył przeciętnie 18 lat, a starożytnym Rzymie — 21. W Anglii w 1900 r. — 42 lata. Dziś przeciętny Europejczyk żyje 74 lata.

●

NAJWIĘKSZY ekran kinowy zaprezentowali Japończycy na wystawie „Expo 85" w Osace. Ma on 30 m szerokości i 20 m wysokości, co równa się wysokości sześciopiętrowego budynku.

GEJZERY, jak wiadomo, są to źródła, z których co pewien czas tryska fontanna gorącej wody i pary. Występują one na terenach wulkanicznie czynnych: na Kamczatce, w Islandii, Nowej Zelandii oraz w Yellowstone Park w USA, w Japonii i Meksyku.

Gejzery stanowią nie tylko atrakcję turystyczną. Gorąca woda z tych źródeł wykorzystywana jest np. w Islandii do ogrzewania mieszkań, napełnia się nią baseny pływackie, ogrzewa oranżerie i szklarnie, w których hoduje się warzywa i kwiaty. Dojrzewają tam pomarańcze, cytryny i banany. W chłodnym klimacie Islandii gorące źródła są prawdziwym dobrodziejstwem natury.

●

„TWARDY JAK STAL" — mówi znane powiedzenie. Nie jest ono jednak ścisłe, bo powinno się mówić „twardy jak włos". Włos ludzki jest bowiem wytrzymały nie tylko na rozerwanie, ale także na ściskanie. Jeżeli go położyć na arkuszu stali i przewalcować na zimno, to na stali wyciśnie się wgłębienie.

UWAGA! W związku ze wzrostem ceny usług poligraficznych zmuszeni jesteśmy podwyższyć cenę „Płomyczka" o 5 zł.

Nowa cena, 30 zł, będzie obowiązywała od 1.I.1988 r.

Witaj, szkoło!

PRZYDROŻNY KAMIEŃ

O czym marzy przydrożny kamień
przy drodze dalekiej?

Może
chciałby wyruszyć kiedyś
w ślad za człowiekiem?

Może
chciałby być szczytem góry
wzniosłej jak niebo?

Może
chciałby przepływać morza,
ku nowym brzegom?

Spytałem
i głaz otworzył kamienne serce:
— Chciałbym — rzekł —
być kamyczkiem
w dłoni dziecięcej.

Piotr Łosowski
Rys. S. Uścińska-Siwczuk

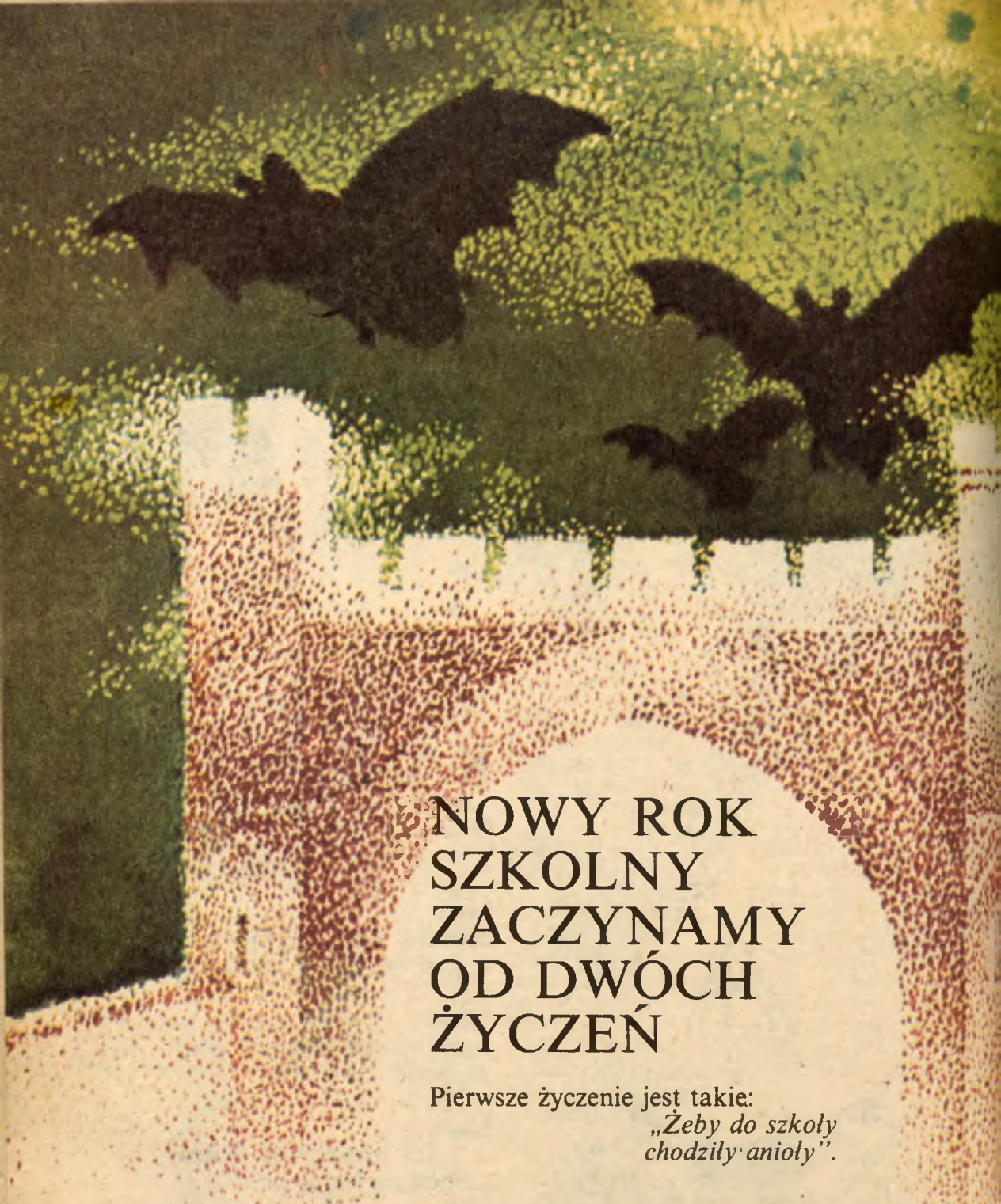

NOWY ROK SZKOLNY ZACZYNAMY OD DWÓCH ŻYCZEŃ

Pierwsze życzenie jest takie:
„Żeby do szkoły
chodziły anioły".

Widziałem na boisku przed szkołą najprawdziwsze granatowo-białe anioły. Było to w Marchwaczu pod Kaliszem. 30 maja stały na wprost szkolnego sztandaru i ślubowały, że naprawdę będą się uczyć (bo bardzo nie lubią kryć się pod ławkami podczas odpytywania).

Stały w logicznej kolejności, czyli od pierwszej do ósmej klasy. I przyrzekały, że będą kochać Ojczyznę, uczciwie dla niej pracować i naśladować swojego Patrona, Stanisława Aleksandrzaka.

„Piękny jest trud człowieka
(powtarzały Jego słowa)
co życie w lepsze zmienia".

A właśnie dookoła było widać ich

Brama wjazdowa do parku Niemojewskich w Marchwaczu

pracę zmieniającą świat:

— odświeżoną szkołę,

— Izbę Pamięci Stanisława Aleksandrzaka, stworzoną — jak to się mówi — zupełnie od podstawy,

— wyszperane-uzyskane od Rodziny pana Stanisława Jego rękopisy, fotografie, pamiątki.

A jakie jest to drugie życzenie?

Dbajcie o swoje zdrowie!

Mamy w redakcyjnych teczkach, tzw. zapasach, sporo artykułów i listów o wypadkach na drodze i o przydarzających się Wam chorobach. Brak natomiast takich, które by mówiły krótko o tym, jak unikać rozmaitych kłopotów ze zdrowiem i jak zdrowie rozwijać?!

— Jak dbać o oczy?

— Jak zachować piękną, smukłą sylwetkę? (czyli jak dbać o kręgosłup) itd. itp.

*

Czekamy na listy-głosy Nauczycieli, Lekarzy, Rodziców i na Wasze sygnały: — co chcecie na temat zdrowia przeczytać w „Płomyczku"?

Tadeusz Chudy

Rys. S. Uścińska-Siwczuk

1—2 Gołym okiem widać, że Szkoła w Marchwaczu koło Kalisza ma już swojego Patrona i Sztandar.

3 Dyrektor Instytutu Wydawniczego „Nasza Księgarnia" Czesław Wiśniewski ze wzruszeniem mówi o wielkim powrocie Stanisława Aleksandrzaka do miejsca swojego urodzenia.

30 MAJA W MARCHWACZU

Fotografował
Stefan Rutkowski

Dzieci śpiewają hymn szkoły „Piękna jest nasz ziemia" (słowa: Stanisław Aleksandrzak, muzyka: Józef Walczyński)

Dyrektor Antoni Konieczny odczytuje ślubowanie

Córka Stanisława Aleksandrzaka, pani Elżbieta Zielińska — dziękuje wszystkim: władzom, szkole, społeczeństwu Marchwacza za pamięć o Ojcu

W Izbie Pamięci — koledzy Stanisława Aleksandrzaka z Seminarium Nauczycielskiego w Słupcy: od lewej Kazimierz Koziński, Henryk Dankowski

WIELKA POKUSA I RZYMSKA KONFITURA

Niebo wygasło gwałtownie i przestworza wypełnił niebieskawy dym, jaki snuje się z niewidocznych ognisk nad kartofliskami. Nadciągał długi, ciepły zmierzch. Przerwałem pisanie, potarłem końcami palców powieki, oczy mnie piekły, jakby w nie ktoś sypnął garścią piasku. Wyprostowałem się, ze złością spojrzałem na maszynę, może to była wina wyszczerzonych klawiszy, że wystukiwana opowieść rozwijała się tak opornie.

Za oknem szeroko otwartym zaczął świecić złotem i czerwienią ograbiony z owoców stary sad. Zostały tam jeszcze renety, szorstkie i ciężkie jak kamienie, nie do ugryzienia.

— Pora je zebrać — napominała mnie żona — półki w piwnicy wyszorowałam do czysta i naścieliłam grubo siana. Wprawdzie reneta odporna, jednak mogą się zdarzyć nocą przymrozki...

Jeszcze godzinę temu nachylała się nade mną i niedowierzającym okiem sprawdzała numerację stron, a pamięć miała niezawodną. Czułem się jak uczeń, który się wałkoni zamiast odrabiać lekcje, oczywiście wszystkiego było jej za mało, nie mogła pojąć, dlaczego godzinami tkwię nad maszyną i wpatruję się w ledwie napoczętą kartkę.

Prawdę mówiąc, każdą sposobność do porzucenia roboty witam z wielką ulgą, więc już byłem gotów zerwać się od stołu i zbiec do sadu, przywlec podwójną drabinę, dosiąść jej okra-

kiem i niespiesznymi ruchami wyławiać jabłka spod zrudziałych liści. Pokrzykiwałbym z góry na córkę, żeby odbierała koszyczek wypełniony po brzegi, żonę bym posłał do piwnicy i zaraz poczułbym się lepiej. Może nawet dobre pomysły przyszłyby mi do głowy.

I Maria o tym wiedziała, bo położyła mi dłoń na ramieniu, osadziła na krześle.

— Jak ci się dobrze pracuje, to siedź i pisz. Korzystaj ze spokoju. Kasia mi pomoże, dopiero początek roku szkolnego, nie ma dużo zadane, zdąży odrobić, jak się ściemni. A ty także popracuj troszeczkę, nie leń się... Jeszcze ze dwie stroniczki!

Łatwo powiedzieć: dwie! Obym choć jedną tylko dorzucił — tępo zapatrzyłem się w martwą biel arkusika wkręconego w maszynę. Kamieniarska robota — składać literki w słowa, słowa wiązać w zdania, tak nieomylnie, by wydało się czytającemu, że same podbiegły i są jedyne, jakie mogły się w tym szyku pojawić. Oto wyłaniają się z krzewów przydrożnych postacie bohaterów, odkrywa rozległa panorama tamtego królestwa, które tak lekkomyślnie porzuciłem, ufając, że w każdej chwili drogę do niego odnajdę, że wystarczy tylko przymknąć powieki i już zobaczę ponad wierzchołkami drzew czerwone mury obronne Blabony, strzeliste wieże zamku i ratusza, posłyszę świergot mnóstwa jaskółek, które już zbierają się do odlotu. Ale to wcale nie jest takie proste, żeby tam trafić, a przywołany obraz tylko wzmaga tęsknotę.

Ileż razy obiecywałem sobie, że już jutro wyruszę, kreśliłem plany wyprawy. Zawsze mi coś przeszkodziło, sypali się niezapowiedziani goście, kusili mnie spotkaniem z czytelnikami, to znów kłopoty domowe więziły na długie tygodnie. I tak mijały wiosny, lata, jesienie i zimy. Bywało, że zbuntowany ruszałem w drogę, żeby bodaj trafić na ścieżynę prowadzącą do utraconego królestwa Tiutiurlistanu, wymykałem się ukradkiem i choć wydawało mi się, że tuż poza przywalonym kłębami dzikiego wina starym ogrodzeniem naszego sadu zaczyna się szczęśliwa kraina, rychło się jednak przekonywałem, że pomyliłem kierunek i błądzę po nie znanych mi przedmieściach, rozjeżdżona polna droga prowadzi na wysypiska śmieci, ku gliniankom pokrytym kożuchem rzęsy. Musiałem wracać, tłumaczyć się zawile żonie, gdzie mnie poniosło, dlaczego się o zmroku wałęsałem. Ona nie mogła pojąć mego niepokoju o los Tiutiurlistanu i Blablacji, a ja przeczuwałem, że coś niedobrego się z wami dzieje, moi przyjaciele odziani w maski z piór i sierści... Gdzie jesteś, kocie Mysibracie? Co z tobą, damo dworu, wytworna Lisico Chytrasko? W jakie tarapaty wpadłeś, mężny kogucie Epikurku, mały, ale — jak i twój poległy ojciec — nieustraszony?

Nieraz wydawało mi się, że słyszałem ich nawoływania, prosili o pomoc, pamiętali moje przysięgi, ufali ślepo, że dotrzymam słowa, nadejdę w porę, uratuję i przywrócę ład.

Jakże wyraźnie widziałem ich w snach niespokojnych, byli o krok ode mnie, a kiedy przebudzony zapalałem lampę, znikali jak cienie, wchłaniał ich mrok. Uciszałem dłonią tłukące się serce. Nasłuchiwałem. Zegar ospale tykał i za oknem dzwoniły świerszcze.

Tylko nasze psisko, Mumik, stukając pazurami o parkiet, podchodził do tapczana i kładł mi kosmaty pysk na ręce, posapywał, jakby zapewniając: jestem czujny, śpij spokojnie, nikogo tu nie było...

Wstałem znad maszyny i przeciągnąłem się oddychając głęboko. Jakże mocno pachniał ogród więdnącymi liśćmi, zeschłym koprem i pokrytą zamszem pigwą. I jeszcze wraz z dymem ogniska poczułem rozkoszną

woń perkocącej konfitury, którą żona w wielkim jak miednica rondlu kończyła smażyć. Rzymska konfitura... Przełknąłem ślinę i od razu ogarnęła mnie przemożna chęć ucieczki. Dosyć na dzisiaj roboty, do diabła z pisaniną...

Słyszałem rozdrażnione piski Kaśki uganiającej po ścieżkach, zajadłe naszczekiwanie Mumika, naszego kerry-blue teriera. Chyba wiecie, jak wyglądają kerry? Wzrost średni, sierść ciemnopopielata, długa. Dlatego je się strzyże. Pysk kosmaty z capią bródką, uszy jak dwa płatki aksamitu, grzbiet gładki, zakończony sterczącym kołeczkiem ogona, natomiast łapy zostają puchate jak portki kowboja z Argentyny. „Keraki" są bardzo towarzyskie, świetni tropiciele, naprawdę widzą nosem, bo brunatne ślepia przysłaniają im nawisłe kudły.

Radosny wrzask Kasi, pełen czułości skowyt Mumika, który ją w krzewach czarnych porzeczek sprawnie odnalazł — jak zwykle bawili się w chowanego — także mnie przywoływał. Wyjrzałem przez okno. Owiana dymem tlącego się drewna, Maria ze skupieniem wiosłowała wielką kopyścią, raz po raz wyławiając cząstki obranych jabłek, twardych gruszek i dostałe śliwki, sprawdzała, żeby się nie rozgotowały i nie przywarły do dna. Jakże te zapachy łaskotały mi nos. Oprócz lenistwa, łakomstwo też często mi bywa doradcą.

Żona kolistym ruchem, jak w obrzędzie tajemnym, sypała rodzynki, prószyła cukrem waniliowym. Tylko, żebyście nie myśleli, że ona warzy zwykłe powidła! To prawdziwa rzymska konfitura, według starego przepisu mojej babki, Angeli Christiani.

Ta konfitura miała kilka zalet: nie wymagała zbyt wiele cukru, ścinała się w galaretkę. W zależności od składników miała różny smak, stąd każdy słoik stawał się niespodzianką i pojawienie się jego zimą na stole było witane indiańskim wrzaskiem. A najważniejsze, że te konfitury nie dawały się zbyt długo przechowywać. Toteż, nie czekając zimy, już nazajutrz przystępowaliśmy do próbowania. Scalona zawartość zachowała odrębny smak ziarnistych gruszek, kwaskowych jabłek i goryczki śliwkowych skórek, przepyszna, cudo, mniam-mniam!

Nawet dwie wybredne smakoszki, moje przyjaciółki, Anna Kowalska i Maria Dąbrowska, a były to prawdziwe autorytety w sprawach stołu, nie kuchni, kiedy żona się skarżyła, że ma mnóstwo roboty i nawet nie wie, czy jej się konfitury udały, z całą powagą żądały po słoiku na próbę. Przy najbliższym spotkaniu sypały pochwałami, dopominając się o jeszcze, lecz niestety, ku naszej radości — było już za późno, już się sami uporaliśmy z rzymską konfiturą, ratując ją przed pleśnią i fermentem. Spojrzenie, jakie wymieniliśmy z Kaśką, było pełne wzajemnego uznania, najbardziej rodzinne.

Korony starych jabłoni zdawały się rozjaśniać dymny zmierzch złotem liści, opadłe gęstą łuską pokrywały umarłe trawy. Żona klękała przy palenisku ułożonym z kamieni, jak kapłanka kruszyła gałązki, by podsycić płomień, to sypała garść wilgotnych liści, by go przytłumić, gdy zanadto buzował. Wiotki dym ją owiewał, wznosił się nikłym welonem, sięgał otwartego okna. Jakże rozkosznie dyszała bulgocąca konfitura, jak błyskał płomień w mosiądzu ogromnego rondla! Chętnie bym łyżkę zanurzył i liznął tego wrzątku... Czułem soczysty miąższ jabłek, poskręcane skóreczki śliwkowe, kuleczki napęczniałych rodzynków parzącą słodyczą pękające na języku. A czasem trafiła się kruszynka wanilii, wonna i zapowiadająca bliskie święta, Gwiazdkę, skrzenie śniegu, że tylko oczy mrużyć...

Pognałem po schodach, aż zadudniło, wypadłem do ogrodu witany ra-

dosnym wrzaskiem Kaśki i jazgotem gnającego ku mnie Mumika, wyprzedził moją córkę, triumfował, podskoczył wysoko i liznął mnie w policzek ciepłym jęzorem.

— Tatek! Pobaw się z nami! — prosiła, obejmując mnie. — Mama ciągle zajęta... Jestem sama, w kółko tylko lekcje i pies...

— Więc nie jesteś sama! — szczeknął dotknięty i potarmosił mnie za nogawkę, żebym już się chował, a on mnie będzie tropił, by z triumfalnym ujadaniem oznajmić: „Jeszcze nie wiesz, Kasiu, gdzie przycupnął? Siedzi w gęstwie szparagów..."

— Najpierw pomożemy mamusi...

Ująłem córkę za rękę, psa zahaczyłem jednym palcem za obrożę i we trójkę ruszyliśmy ku ognisku dogasającemu między kamieniami, gdzie złocił się rondel w nagłych pełganiach płomyków. Im było bliżej, tym smakowiciej pachniała konfitura.

— Marychno! — zacząłem uroczyście. — Przyszliśmy komisyjnie ocenić, czy twój trud nie poszedł na marne... Dawaj kopyść!

Zaniepokojona wręczyła mi ją potulnie. Zaczerpnąłem bulgocącej leniwie, zgęstniałej już cieczy. Ziała żarem. Dmuchałem długo, nie ośmieliłem się liznąć. Smakowałem nosem, wydając niedźwiedzie pomruki.

— Daj i mnie, tatku! Daj łygę, ja mam bardzo zimny dmuch!

Mumik też stał na dwóch łapach, prosił w milczeniu, wiedział, że nie zostanie pominięty, jak komisja, to komisja. Więc ku oburzeniu żony dałem mu łyżkę do oblizania, niewiele z niej mu do pyska ściekło. Opadł na cztery łapy i koniec uniesionego ogona drgnął mu z zadowolenia.

— Wiesz — zacząłem z namysłem — trochę brakuje mi...

— Czego ci brak? Może mało słodka?

Przyglądała nam się z niepokojem oczekując wyroku.

— Z jednej łyżki nie można określić... Brak mi spodeczka. Chlapnij nam uczciwie. Jak trochę podstygnie, powiemy ci całą straszną prawdę, jakiej nawet nie przypuszczasz...

— Oczywiście, maminko — poparła mnie córka — trzeba więcej...

— Wynocha mi stąd! Żadnego pożytku z was nie mam! Jeszcze psu podtykają łyżkę do oblizania! On jeden nie kłamie. Merda przymilnie, więc mu smakowało! Wam także... Tylko że wy jesteście łgarze i łakomczuchy!

Wojciech Żukrowski

Rys. Jerzy Flisak

(Fragment z książki „Na tronie w Blabonie")

* * *

Czy mogę mówić z lwem?
Nie możesz, bo cię zjem.
Przez telefon? Wykluczone!
Zjem cię razem z telefonem.

* * *

Jadą wózkiem malowanym
kolorowe sny.
A gdzie jest woźnica?
Zmęczył się i śpi.

Wanda Chotomska

SERIA Z OKRĘTAMI

Mama pakowała walizkę. Wyjeżdżała do Polski załatwiać jakieś sprawy dla swojej fabryki. Przez cały miesiąc Kalin będzie tylko z tatą i dziadkiem. Dziadek przyjechał ze wsi, żeby się nim zająć. Mama śmiała się i mówiła, że dziadek jest pogotowiem ratunkowym.

Może jechać spokojnie, w domu wszystko będzie w porządku. Kalin włożył mamie do walizki kartkę ze swoimi zamówieniami — co mama ma mu z Polski przywieźć. Właściwie był to tylko jeden punkt: znaczki, seria z okrętami.

Od wakacji Kalin zbiera znaczki. Ma już trzy albumy. Czego tylko nie ma w tym kolorowym świecie! Psy różnych ras, surowe twarze wybitnych ludzi i wesołe, ludowe święta. Obrazy znakomitych malarzy i fragmenty miast.

Niczego innego nie chce z Polski, tylko tę serię z okrętami.

W warszawskim hotelu mama Kalina otworzyła walizkę i znalazła kartkę. Zaraz dostrzegła w niej błędy ortograficzne i rozgniewała się.

„Cztery słowa i dwa błędy. Ja ci dam serię z okrętami..."

Już następnego dnia poszła do sklepu filatelistycznego. Sprzedawca powiedział jej: „To stara seria, trudno

pani będzie ją dostać". Pokazał jej różne nowe znaczki i serie. Mama Kalina kupiła serię z herbami miast i inną, bardzą kolorową — polskie obyczaje ludowe.

Następnego dnia wyjechała do Krakowa. W torebce miała kartkę z dwoma błędami. Ale gapa — myślała sobie, a jednocześnie strasznie jej się chciało zobaczyć tę gapę.

Zwiedziła kombinat w Nowej Hucie i Kraków, co godzina słuchała hejnału z wieży — starodawnej melodii, przerwanej przed wiekami tatarską strzałą.

Na ulicy prowadzącej do białego, kamiennego rynku, pełnego straganów z kwiatami, był sklep filatelistyczny. Tam jednak też już nie było serii z okrętami.

Któregoś wieczora mama Kalina zatelefonowała do Sofii. Poprzez góry i rzeki dobiegł do niej dźwięczny głosik: „Jak się czujesz, mamo, ja bardzo dobrze... Kupiłaś mi serię z okrętami?"

— „Kupiłam" — powiedziała mimo woli, nie chcąc sprawiać Kalinowi przykrości. „Huuraa" — zadzwoniło w słuchawce.

Seria z okrętami musiała być za wszelką cenę kupiona.

Z Krakowa mama Kalina wyjechała do wspaniałego, średniowiecznego miasta Gdańska, położonego na wybrzeżu Morza Bałtyckiego. Samoloty nie latały z powodu złej pogody, trzeba było spędzić całą noc w pociągu.

„To nic, proszę pani — uspokajała ją towarzyszka podróży — może za to zobaczymy prawdziwy sztorm na Bałtyku". Nim jednak przyjechały, sztorm się skończył i Trójmiasto — Gdańsk, Sopot i Gdynia — przywitało je ciszą i spokojem.

Po załatwieniu swoich spraw mama Kalina wybrała się szukać sklepu filatelistycznego. „Dlaczego mu powiedziałam, że kupiłam tę nieszczęsną serię z okrętami" — denerwowała się, ale teraz już nie z powodu błędów ortograficznych, tylko dlatego, że była zła na samą siebie. Stare domy o spadzistych dachach na Starym Mieście stały ciasno jeden przy drugim, ich fasady były kolorowe jak znaczki pocztowe. Wreszcie na wąskiej uliczce, opadającej stromo ku morzu i ku starej stoczni, mama Kalina znalazła malutki sklepik ze znaczkami. Starszy pan, sprzedawca, siedział spokojnie paląc fajkę z bałtyckiego bursztynu.

— Seria z okrętami? — spytał. — Chyba ją mam. W starym domu nic nie ginie.

Mama Kalina poczuła ulgę.

— Mój syn buduje okręty — pochwalił się sprzedawca, wyciągając jedną po drugiej ciężkie szuflady z ciemnego drewna. Aż mu fajka zgasła podczas tego wytrwałego szukania serii z okrętami.

— Nie ma. Byłem pewny, że ją mam, ale... — rozłożył wreszcie ręce. Było mu przykro.

Mama Kalina przysiadła na dębowej ławie, wypełniającej część miejsca przed ladą. Chciało jej się płakać. Sprzedawca zorientował się, jak bardzo tej pani z Bułgarii zależy na serii z okrętami.

Udał jednak, że nie dostrzega łez w jej oczach. Nalał do porcelanowej filiżanki aromatycznej herbaty, dołożył plasterk cytryny i poczęstował klientkę.

— Powiedziałam synkowi przez telefon, że kupiłam tę serię — westchnęła mama Kalina. — Kiedy usłyszałam jego głos pytający mnie o tę serię, nie chciałam mu robić przykrości. Źle zrobiłam, co teraz będzie...

— Dzieciom trzeba mówić prawdę — rzekł w zamyśleniu stary Polak i zapalił bursztynową fajkę. — Od nich przecież też wymagamy mówienia prawdy.

— Ja dlatego, że... — mama Kalina nie dokończyła zdania.

MOJE SPOTKANIE Z BUŁGARIĄ

KONKURS LITERACKO-PLASTYCZNY

na wiersz — opowiadanie — wspomnienie — rysunek

Właśnie skończyły się wakacje. Niektórzy z Was (niestety, tylko nieliczni) odwiedzili wraz z rodzicami, piękną, słoneczną, zaprzyjaźnioną z nami Bułgarię. Przywieźliście stamtąd wiele niezapomnianych wrażeń i wspomnień. Zawiązaliście na pewno wiele przyjaźni z bułgarskimi Koleżankami i Kolegami. Warto te wrażenia i przyjazne wspomnienia utrwalić piórem lub rysunkiem.

Organizatorzy Konkursu:

— Stołeczny Zarząd Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Bułgarskiej
— Bułgarski Ośrodek Kultury i Informacji w Warszawie
— Dwumiesięcznik „Panorama Bułgarska"
— i „Płomyczek"
serdecznie zapraszają Was, Czytelników „Płomyczka", do udziału w konkursie pn. „MOJE SPOTKANIE Z BUŁGARIĄ".

Jury Konkursu przyzna wiele nagród i wyróżnień rzeczowych oraz — UWAGA! — jeden 10-dniowy pobyt w bułgarskim miasteczku dziecięcym Ropotamo.

Prace na konkurs: opowiadania i wspomnienia (do 3 stron maszynopisu), wiersze i rysunki należy nadsyłać do „Płomyczka"

— 00-950 Warszawa, ul. Spasowskiego 4 — do dnia 30 listopada 1987 r. Z dopiskiem na kopercie: MOJE SPOTKANIE Z BUŁGARIĄ.

Każda praca powinna być podpisana wyraźnie imieniem i nazwiskiem autora oraz zaopatrzona w jego dokładny adres.

Nie zapomnijcie o kodzie pocztowym!

Chcielibyśmy także znać wiek każdego z Was.

Rozstrzygnięcie Konkursu nastąpi na przełomie roku 1987/88.

Najlepsze prace zostaną opublikowane w „Płomyczku" lub w „Panoramie Bułgarskiej".

Rzeka Ropotamo

ANEGDOTY
O SIENKIEWICZU I PRUSIE

Nie znałem twórcy „Trylogii". Ale mój ojciec, fizyk i humanista, zaprzyjaźnił się z nim za pośrednictwem wielkiego historyka, autora książki „Kraków przed Piastami", Karola Potkańskiego. Aż do powstania w 1944 r. przechowywałem kartki Sienkiewicza pisane do mego Ojca. Spaliły się w mym mieszkaniu, po powstaniu (przez Niemców). Ale wynotowałem przedtem ich treść i mogę zacytować. Jak wiadomo, autor „W pustyni i w puszczy" był namiętnym podróżnikiem. Z Afryki przywiózł słynne swe „Listy". Otóż pewnego dnia wybrał się na południowy kontynent — z Zakopanego. Kolej dochodziła wtedy do Chabówki. Spod Tatr trzeba było dojechać do tej stacji góralską furką, niemiłosiernie trzęsącą na „kocich łbach". Wobec czego Sienkiewicz napisał w kartce: „Najtrudniejsza część drogi z Zakopanego do Afryki jest już — poza mną".

Innego dnia Sienkiewicz napisał: „Gdy mnie proszą, bym napisał, przyrzekam zawsze, że napiszę. Oni są szczęśliwi, gdyż myślą, że napiszę. A ja też, ponieważ jestem pewny, że piórem nie ruszę".

Medal ku czci Henryka Sienkiewicza

Pytany o powód niereagowania na pirackie adaptacje teatralne jego powieści pisał: „Czy można zrobić cokolwiek w walce przeciw największym klęskom ludzkości: katarowi, dżumie i adaptacjom reżyserskim?"

Przypadkiem trafiłem w pewnym antykwariacie na mało znaną publikację zbiorową, redagowaną przez Sienkiewicza, a gromadzącą oświadczenia największych pisarzy świata, piętnujących pruską ustawę z 1908 r., która pozwalała wywłaszczać polskich chłopów. Odpowiedzieli wszyscy, do których zwrócił się autor „Quo vadis" — od Tołstoja do Marinettiego. Sienkiewicz opublikował ów tom na własny koszt, po francusku, i wydał w Paryżu. Częściowo przeszkodził w ten sposób działaniu prawa poprzedzającego praktyki Hitlera. Podczas pierwszej wojny, wielki nasz pisarz polski, laureat „Nagrody Nobla", mieszkał w Szwajcarii i zajmował się pomocą dla polskich ofiar represji we wszystkich zaborach. Wtedy to, słynny późniejszy autor „Obrony Ksantypy". Ludwik Hieronim Morstin, przyjechał do Sienkiewicza, by mu wręczyć pamiątkową Odznakę Legionów. Drugim delegatem był ówczesny oficer Legionów, pułkownik, późniejszy generał — Władysław Sikorski. Autor „Trylogii", choć nie był zwolennikiem Piłsudskiego, z najgłębszym wzruszeniem przyjął to honorowe odznaczenie. Miał łzy w oczach. Dodajmy, że „Quo vadis" jest największym światowym „bestsellerem" we Francji naszego stulecia. Wielki francuski współczesny dramatopisarz Montherlant miał stale tę książkę przy łóżku, a pod koniec życia napisał o niej najlepsze studium, jakie

Jedna z pamiątek po Sienkiewiczu w Muzeum Literatury w Warszawie

znam. Powodzeniem cieszy się we Francji „W pustyni i w puszczy".

Bolesław Prus, współczesny Sienkiewiczowi, nie był jego bezkrytycznym zwolennikiem. Wytykał omyłki historyczne. Nie zgadzał się na jego stosunek do Kozaków, za mało życzliwy. Tym śladem Prusa poszli: Brzozowski, prof. Górka, Maria Dąbrowska w sztuce „Geniusz sierocy". Ale Sienkiewicza i Prusa łączyły: miłość do Polski, do nauki i do dzieci.

Za młodu był Aleksander Głowacki jednym z najgorętszych zwolenników Powstania Styczniowego. Później uznał, że ciągłe i nieprzygotowane zrywy zbrojne muszą ustąpić intensywnej pracy gospodarczej i społecznej. Był zwolennikiem uporządkowania nędzarskich, brudnych dzielnic Warszawy, szczególnie Powiśla. Echem tych marzeń są niektóre rozdziały arcydzieła, jakim jest „Lalka". Jest to najwspanialsza powieść o Warszawie z końca XIX stulecia. Nie posiada, niestety, odpowiednika, gdyby chodziło o powieść na temat drugiej naszej stolicy, Krakowa, może z wyjątkiem „Znaszli ten kraj" — Boya.

Pamiętam w „Lalce" piękne sceny z uroczym dzieckiem pięknej pani Heleny Stawskiej, którym jest oczarowany wspaniały „stary subiekt", Ignacy Rzecki. Nie było nigdy tajemnicą, że i sam autor „Lalki" uwielbiał dzieci. Gdy miałem 6—8 lat przyjeżdżaliśmy z rodzicami i rodzeństwem z Krakowa na Wielkanoc do ogromnego mieszkania, zajmowanego przez stryja i opiekuna mej matki — dr Ignacego Baranowskiego. Był on wybitnym lekarzem, przyjacielem Tytusa Chałubińskiego. Matka moja, Elżbieta, oraz wuj, przyszły wybitny historyk, Ignacy Tadeusz Baranowski, byli sierotami. Zaopiekował się nimi rozporządzający wielkim mieszkaniem, Ignacy Baranowski. Lokal ten mieścił się w oficynie domu przy Krakowskim Przedmieściu 7, gdzie się podobno mieścił kiedyś, od frontu, sklep bohatera „Lalki", Wokulskiego. Nic dziwnego, że przychodził tam, zaprzyjaźniony z mym dziadkiem, Prus. Do dziś pamiętam, że podnosił z ziemi i całował dzieci: mnie i moje siostrzyczki. Baliśmy się tego, bo wielki pisarz miał kłujący zarost.

Miłość świata, ludzkości i bliźnich, które znajdujemy w takich arcydziełach, jak „Lalka", „Faraon", „W pustyni i w puszczy", poezja współczesna, dzieła Tołstoja, Moliera, V. Hugo, Duhamela, Czechowa, Mauriaca, Camusa, Canka, Saint Exupery'ego, Marcela Aymego — mogą zbliżyć narody i wieść je ku lepszej przyszłości.

Wojciech Natanson

Fot. Ryszard Kreyser

POMNIK PRUSA

Pisarz spokojnie patrzy na miasto
nie z cokołu, lecz z ziemi samej.
Zna to miasto jak pamięć własną,
jak ulicę i tamtą bramę,

przez którą wchodził do redakcji
na dysputy i na pisanie.
„Dziś znowu mowa będzie o pracy,
o tym, co po nas pozostanie".

Stoi na skwerze z laską w ręce.
Wiatr nagle drzewa szarpie w sadach.
„Przyszłość jest teraz. To, co będzie,
jest tym, co jest i nie przepada".

Gdy przyjdzie wiosna, kry na Wiśle
ruszą ku słońcu, ożyją trawy.
Pójdziemy razem na Powiśle
szukać z Pisarzem dawnej Warszawy.

Jan Koprowski

Fraszki Jana Sztaudyngera

Skromność

— Ja to grunt —
Mówił bławatek.
— A zboże?
— To dodatek!

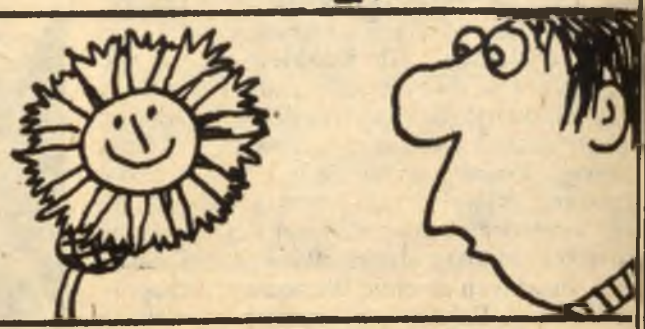

Satelita

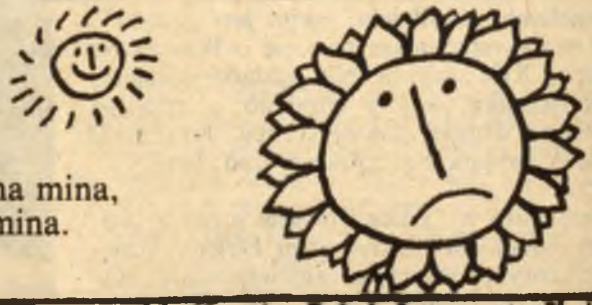

Słonecznik, spójrzcie, jaka butna mina,
Wierzy, że sobą słońce przypomina.

W lesie

Mieszka w nim echo i licho,
A jednak tak tu cicho...

Nietakt

To nietakt duży
Pokrzywom mówić o róży.

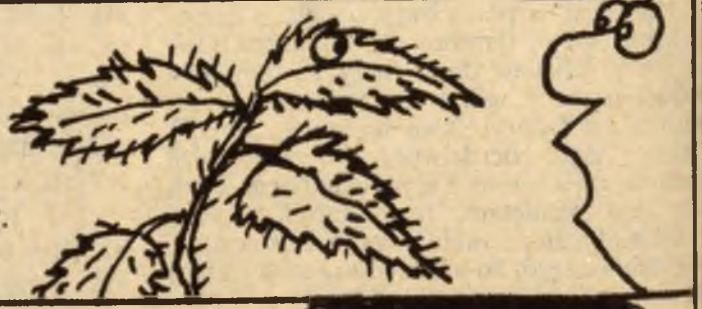

Lęk blasku

Czy patrzę w słońce, czy na różę,
Dla bezpieczeństwa oczy mrużę.

Butenko pinxit

Słoniomania

A JA
KOCHAM SŁONIE.
BO W SŁONIACH
MAM TYLE
DO KOCHANIA!

TRĄBĘ-POMPĘ,
I SŁONIOWE NOGI
NO I TE KŁY-
CZY.
TO WIELKOŚCI MANIA,
CZY TEŻ SŁONIOMANIA?

BO SŁOŃ
TO RUCHOMA
WYSPA,
TO
WIELKA SZARA
CHMURA,
KTÓRA
MOŻE NAWET
ZASŁONIĆ SŁOŃCE!

ALE TEGO
NIE ROBI,
BO BARDZO CENI
SOBIE LATO
GORĄCE.

Jadwiga Hockuba
Rys. Bohdan Butenko

ZWIERZENIE

W Nowej Rudzie się ukrywa...
W Nowej Rudzie?
Otóż tak!
Lokomocji biała dama,
kolejowy biały ptak.

Kiedy noc na miasto spada,
to na szynach po cichutku
do ogródków się wykrada
biały odcień
czyichś smutków.

Ludzie mówili,
ludzie widzieli
lokomotywa,
lecz taka w bieli...

Smutny kolejarz
z zerwaną różą
kusił nas bielą,
kusił podróżą.

Po co ta biel
lokomotywie?
Wie tylko oddech
na zimnej szybie.

Andrzej Zbigniew Gordon
Fot. S. Uścińska-Siwczuk

8.IX.

Wszystkim Pracownikom Kolei w Dniu Ich Święta
życzymy wszelkiej pomyślności
„Płomyczek" i jego Czytelnicy

Fot. Zbigniew Raplewski

MOSTY KOLEJOWE

W r. 1864 oddano w Warszawie do powszechnego użytku wspaniałe dzieło polskiego inżyniera — Most Kierbedzia, który miał według pierwotnego zamysłu być mostem kolejowym i łączyć linię Warszawsko-Wiedeńską z linią Warszawa—Petersburg. W ten sposób można by wygodnie podróżować, bez przesiadania się, z Petersburga do Wiednia.

W trakcie budowy mostu okazało się, że nie można ze względu na bezpieczeństwo mieszkańców — puścić ruchu pociągów środkiem miasta. Zastosowanie systemu zabezpieczeń sparaliżowałoby bowiem ruch miejski.

Most Kierbedzia został więc zwykłym miejskim mostem komunikacyjnym, a pasażerów, przesiadających się z jednej linii kolei na drugą, zdecydowano się wtedy przewozić z jednego dworca kolei do drugiego tramwajami konnymi. A w przyszłości niedalekiej zamierzono wybudować most specjalny kolejowy, omijając śródmieście.

Wstępne prace przy budowie mostu kolejowego, zgodnie z życzeniem Rosyjskiego Sztabu Generalnego, który uznał obiekt za strategicznie niezbędny, podjęło Towarzystwo Kolei Żelaznych już w roku 1871. Inż. Tadeusz Chrzanowski, były współpracownik inż. Stanisława Kierbedzia, wykonał projekt mostu kolejowego, którego budowę zlokalizowano w bezpośrednim sąsiedztwie Cytadeli. Projekt przewidywał, że most będzie dziewięcioprzęsłowy i dwupoziomowy. Na górnym poziomie ułożony zostanie tor kolejowy o czterech szynach umożliwiający przejazd pociągom normalnotorowym i szerokotorowym, a więc takim, jakie powszechnie kursowały na wschód od Wisły. W ten sposób pociągi obu typów mogły przejeżdżać przez rzekę.

Na dolnym poziomie zaprojektowano jezdnię dla ruchu kołowego, dosyć wąską, bo liczącą zaledwie 3,7 m szerokości, i przeznaczoną wyłącznie dla przejścia wojska i przejazdu artylerii. Konstrukcję nośną miały stanowić kratownice identyczne z kratownicami zastosowanymi przy budowie Mostu Kierbedzia.

Prace rozpoczęto w kwietniu 1873 r. Budowa mostu kolejowego obfitowała w różne dramatyczne momenty. Najpierw olbrzymi keson stalowy, ustawiony na drewnianych rusztowaniach, został w czasie przyboru Wisły zwalony na dno rzeki i trzeba było zbudować drugi. Potem na skutek nierównomiernego ułożenia gruntu dna Wisły nie można było opuścić na przewidzianą głębokość kesonu przeznaczonego do budowy filaru numer 3.

Ale nie był to koniec utrapień budowniczych. Oto gwałtowny przybór wody w maju 1874 roku zerwał w górze Wisły umocowane na kotwicach tratwy, które niesione bystrym prądem wody, uderzyły w drewniane rusztowania ze spoczywającą na nich całkowicie zmontowaną żelazną kratownicą, która spadając do rzeki złamała się. Mimo tej katastrofy dotrzymany został dwuletni termin

Nowy most żelazny na Wiśle („Tygodnik Ilustrowany", r. 1875)

Mosty kolejowe pod Cytadelą w Warszawie — r. 1930

budowy mostu. Należy przy okazji wspomnieć, że prace wykonywane były ręcznie z pomocą szeregu wielokrążków i drewnianych dźwigów portalowych.

W r. 1875 „Gazeta Warszawska" informowała:

„Próba nowego mostu żelaznego na Wiśle pod Warszawą odbyła się w dniu onegdajszym. Most był obciążony piętnastu lokomotywami, z tym, że na każde środkowe przęsło wypadało po 5 lokomotyw. Następnie te same lokomotywy były puszczone w ruch z rozmaitą szybkością. Obie te próby wytrzymałości budowy wypadły pomyślnie..."

Również próbie czasu most oparł się znakomicie i funkcjonował bez zarzutu do końca XIX wieku, mimo że nasiliła się częstotliwość pociągów z 8 do 114 na dobę, a nacisk osi parowozów wzrósł z 13 do 20 ton. Jednak w okresie narastającego ruchu jednotorowy most stawał się uchem igielnym warszawskiego węzła kolejowego. Zaistniała potrzeba budowy drugiego mostu. Zlokalizowano go 32 metry na północ, tzn. w dół rzeki od istniejącego. Prace rozpoczęto w styczniu 1905 r., a zakończono w sierpniu 1908. Tym razem budowie nie towarzyszyły momenty dramatyczne, a jedynym nieprzewidzianym wydarzeniem było natrafienie na ślady katastrofy sprzed 30 lat, o czym informował swych czytelników „Przegląd Techniczny" z 1908 roku":

„...na kesonie nr 2 natrafiono w ziemi na keson odpowiedniego filaru starego mostu, który w roku 1875 podczas przyboru rzeki został strącony z rusztowania i runął do rzeki. W celu utorowania drogi dla nowego kesonu niektóre części starego wypadło odrąbać, rozebrać i usunąć przez szluzy...".

Konstrukcja nowego mostu była podobna do starego. Zasadnicza różnica polegała na tym, że na górnym poziomie ułożono dwa tory, a na dolnym nie przewidziano żadnego ruchu kołowego.

Pierwszy most przeznaczono na cele drogowe. W roku 1915 wycofujące się wojska rosyjskie wysadziły w powietrze oba mosty. Jednak ze względów strategicznych Niemcy po wkroczeniu do Warszawy szybko je odbudowali.

Warto przy okazji nadmienić, że most drogowy i na początku XX wieku i w dwudziestoleciu międzywojennym nie był mostem zatłoczonym. Po pierwsze — nie leżał na jakimś szlaku tranzytowym, po drugie — łączył dwie nieuprzemysłowione i jakże różniące się między sobą dzielnice: Żoliborz i Bródno. Toteż z rzadka przejeżdżały po nim furmanki, a jeszcze rzadziej samochód, nazywany wtedy automobilem. Natomiast na odległym zaledwie 32 metry moście kolejowym panował olbrzymi ruch.

Po raz drugi oba te obiekty wysadzone zostały w powietrze przez Niemców w 1944 r.

Most kolejowy niedługo jednak wyzierał z Wisły okaleczoną konstrukcją. Oddano go bowiem do użytku już 19 marca 1946 roku. Natomiast most drogowy, który nazwano Mostem Gdańskim, udostępniono dla ruchu w 1959 r. Dolnym pomostem przebiega dziś linia tramwajowa, górnym — po czteropasmowej jezdni — pędzą samochody. Wraz z Mostem Gdańskim oddano do użytku północny odcinek Trasy Północ-Południe na lewym brzegu Wisły z wiaduktem nad torami Dworca Gdańskiego. A po stronie praskiej wybudowano również nadwiślańską arterię drogową. Obecnie i Most Gdański, i Most Kolejowy służą Warszawie jednakowo — to znaczy bardzo dobrze.

Józef Zięba

Kura białoczuba holenderska majestatycznie obnosi swoje piękno

WIELKIE EPIDEMIE

Od najdawniejszych czasów najgorszymi klęskami spadającymi na ludzi były szybko rozprzestrzeniające się, siejące śmierć — choroby zakaźne. Początkowo nie rozróżniano ich rodzajów i wszystkie określano ogólnie jako zarazę. Nie wiedziano też, co zarazę wywołuje. Jeżeli pojawiała się ona w jakiejś okolicy, mówiono, że na okolicę spadło morowe powietrze, czyli powietrze powodujące mór — śmierć. Potem zaczęto odróżniać zarazy, wśród których najbardziej śmiercionośnymi okazały się: dżuma, ospa i cholera. Nie znając przyczyn tych klęsk, przyjmowano je jako nieuchronność, wynikającą z ułożenia gwiazd na niebie, pojawiania się komet lub uznawano je za kary zsyłane na ludzi przez bóstwa.

Obserwacje przebiegu epidemii wykazały, że każda zaraza zaczyna się od zachorowania pojedynczego człowieka lub niewielkiej grupy ludzi, a potem ogarnia tych, którzy zetknęli się z chorymi. Najdawniejszym sposobem chronienia się przed zarazą było zatem unikanie chorych. Gdy na jakąś okolicę nadchodziło morowe powietrze, zdrowi starali się z niej uciec lub zamykali się w domach, nikogo do siebie nie dopuszczając. Stykający się z chorymi lekarze i ludzie wyznaczeni do grzebania zmarłych nosili szczelne ubrania ochronne z kapturami, w których spiczastych, wysuniętych przed nos dziobach umieszczano naczyńka z różnymi wonnymi cieczami, mającymi chronić przed zakażeniem. Jedną z takich cieczy, zalecaną jeszcze w 1770 roku, była odpowiednio przygotowana ziołowa nalewka wódczana zmieszana z octem. Miało ją wynaleźć siedmiu złodziei, którzy popijając i wąchając nalewkę okradali w czasie jednej z epidemii chorych i zmarłych, a zaraza ich się nie imała.. Przyłapani na kradzieży, w zamian za darowanie im kary, ujawnili skład i sposób przyrządzania owego trunku, nazywanego później octem siedmiu złodziei.

Dzisiaj wiemy, że choroby zakaźne są wywoływane przez chorobotwórcze drobnoustroje

Ozdobny kogut ze wspaniałym czubem

PTAKI JAK Z BAJKI

Żeby tak wyglądały kury, koguty i gołębie, trzeba wielu lat pracy hodowców

Te piękne ptaki to gołębie

Fot. Alojzy Zawadzki

— mikroskopijne bakterie i jeszcze mniejsze od nich wirusy. Walka z chorobami zakaźnymi polega więc na uniemożliwianiu dostania się drobnoustrojów chorobotwórczych do ludzkiego organizmu. Służy temu celowi utrzymanie czystości, szczególnie tam, gdzie spotyka się wielu ludzi, (staranne mycie rąk, i przygotowywanie w czystości produktów spożywczych).

Opracowanym naukowo w końcu XIX wieku przez Ludwika Pasteura sposobem wzmacniania naturalnej odporności organizmu człowieka na działanie bakterii i wirusów jest stosowanie szczepionek, to znaczy wprowadzanie do ciała człowieka pewnej ilości drobnoustrojów osłabionych, niezdolnych do szybkiego rozmnożenia się. Wtedy zaalarmowane wtargnięciem szkodliwych bakterii lub wirusów ciało człowieka wytwarza własne środki ochronne, którymi łatwo niszczy osłabione drobnoustroje. Te wytworzone środki ochronne pozostają w ciele nadal. Jeżeli więc później wtargną do ciała tak uodpornionego człowieka drobnoustroje nieosłabione, to również zostaną zniszczone, zanim zdążą się tak rozmnożyć, że spowodują w organizmie groźne zmiany chorobowe.

Skutecznymi wobec niektórych chorób zakaźnych lekarstwami, wspierającymi naturalne środki ochronne, są antybiotyki — związki chemiczne odkryte w 1929 roku przez brytyjskiego biologa Aleksandra Fleminga w wydzielinach niektórych prostych grzybów i pleśni.

Stosowanie szczepionek doprowadziło do całkowitego uwolnienia ludzkości od zarazy ospy, szczepionki umożliwiają też skuteczne zapobieganie epidemiom dwu pozostałych strasznych chorób — dżumy i cholery.

Antybiotyki zaś pomagają w skutecznym leczeniu wielu innych chorób zakaźnych. Ale wielkie, dotychczasowe osiągnięcia medycyny przesłania ostatnio szerząca się masowo nowa, pochodząca z Afryki, wirusowa zaraza, zwana chorobą AIDS. Jest ona szczególnie groźna, ponieważ wirusy AIDS niszczą naturalne ciała ochronne w organizmie ludzkim i zaatakowany przez nie człowiek staje się bezbronny wobec innych chorób zakaźnych. Zwalczenie tej kolejnej strasznej zarazy jest obecnie najpilniejszym zadaniem wszystkich lekarzy.

Zbigniew Przyrowski

KRZYŻÓWKA 1

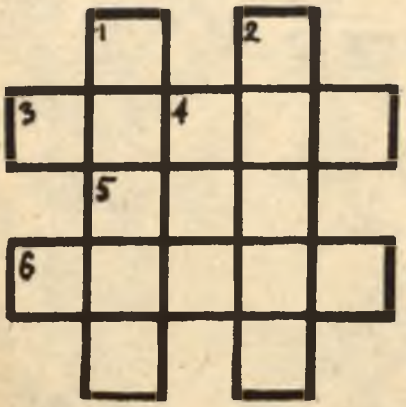

W kratki krzyżówki wpiszcie wyrazy o niżej podanych znaczeniach.

Poziomo: 3. zupa z kury, 5. ciągnie go koń, 6. ociosany klocek drewna.

Pionowo: 1. jeździ na nim kolarz, 2. w przysłowiu, gdyby nie skakała, toby nóżki nie złamała, 4. jest słona.

J. S.

KRZYŻÓWKA 2

Do pustych kratek wpisz wyrazy o niżej podanych znaczeniach:
Poziomo: 4. stoją na nim kwiaty w oknie. 5. rodzaj łopaty, 6. leczą w nim chorych.
Pionowo: 1. smocza buzia, 2. do rozwiązania lub wykonania, 3. przedstawiciel innych

J. S.

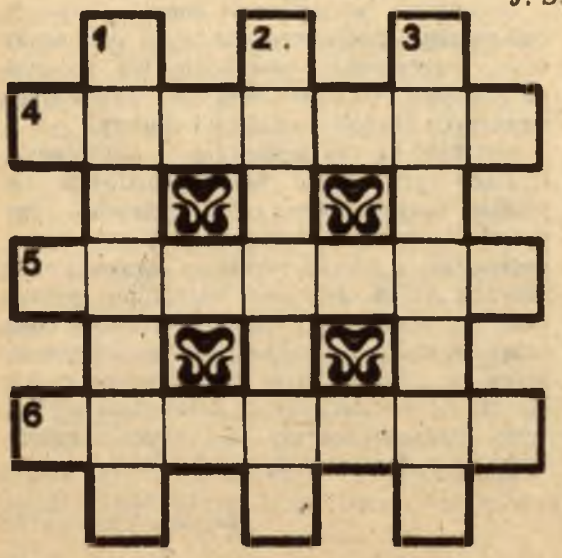

WYMIENIANKA

W wyrazie „ryba" wymień kolejno po jednej literze tak, aby za każdym razem powstał nowy wyraz, który należy wpisać do tabelki. Po ostatniej wymianie powinien powstać wyraz „kosz"

J. S.

R	Y	B	A
K	O	S	Z

JAKIE TO ZWIERZĘ?

Gdy ostatnie litery wyrazów do odgadnięcia ułożysz w odpowiedniej kolejności, powstanie nazwa zwierzęcia — mieszkańca pustyni.
Wyrazy do odgadnięcia: 1) mięso i cebula na patyku, upieczone — pyszne danie, 2) mieszkasz w nim, 3) czeszą trawę, 4) góra ziejąca ogniem, 5) podróżnik, badacz kontynentów.

E. Cz.

ZAGADKA 1

Na skórze łuska,
w wodzie się pluska.

ZAGADKA 2

Korzeń jak nitka,
łodyga jak listek,
zielony kożuch na stawie.

ZAGADKA 3

Łączy różne materiały
i czy lato, czy zima
bez nici mocno je trzyma.

W. S.

NASZ ZWIERZYNIEC

PELIKAN

Pelikany tworzą rodzinę ptaków, należącą do rzędu wiosłonogich, razem z głuptakami i kormoranami, są ptakami dużymi, dorównują rozmiarami łabędziom. Na lądzie poruszają się niezgrabnie i ociężale. Za to są doskonałymi lotnikami. W odróżnieniu od bocianów, które latają z wyciągniętą do przodu głową, pelikany chowają głowę między skrzydłami. Podczas gdy inne ptaki magazynują pokarm dla piskląt w wolu, pelikanom do gromadzenia złowionych rybek służy podłużna, workowata torba pod dziobem.

Łowienie ryb u wielu pelikanów odbywa się w sposób zorganizowany i we współpracy z ptakami innych gatunków. Większa liczba ptaków okrąża teren łowiska, a następnie uderzając mocno skrzydłami o wodę, goni spłoszone rybki ku brzegom na płytkie wody, gdzie z łatwością łowią je pelikany swoimi torbowatymi dziobami.

Inaczej poluje na ryby pelikan brunatny, bo atakuje je z lotu nurkowego. Uderza całym ciałem w powierzchnę wody, nurkuje i błyskawicznie wylatuje z niej ze zdobyczą.

Oprócz pelikana brunatnego, żyjącego na wybrzeżach i wyspach tropikalnych mórz obu Ameryk, wszystkie inne są także brunatne, ale tylko w młodości. Dorosłe stają się białe z różowym kolorytem piór w okresie godowym.

W Polsce można spotkać niekiedy zalatującego z południowo-wschodniej Europy pelikana babę. Gnieździ się on w delcie Dunaju, nad Morzem Azowskim, w Azji Środkowej i na południu Afryki.

Znany jest jeszcze pelikan kędzierzawy, australijski, mały, ciemnoskrzydły i rogodzioby.

Pelikana babę znano już w starożytnym Egipcie, gdyż smakołykiem były jego jaja. Zmyślny jest sposób wychowywania piskląt przez pelikana kędzierzawego. Swoje pisklęta, w liczbie trzech, roznosi on do trzech różnych gniazd, co chroni je przed atakiem drapieżników.

Franciszek Kobryńczuk

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4, skr. pocztowa 380 00-950 Warszawa Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:
kwartalnie — 150 zł, półrocznie — 300 zł, rocznie — 600 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Elżbieta Brzoza, Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Sabina Uściińska-Siwczuk (redaktor graficzny), Teresa Wilk-Białożej

RADA REDAKCYJNA:
Wojciech Żukrowski (przewodniczący), Hanna Bielawska, Jerzy Filsak, Ewa Jóźwiak, Ludwik Jerzy Kern, Janina Mazur, Ewa Maria Pawlikowska, Zdzisław Pawłowski, Ewa Sadowska, Maria Wieliczko, Stanisław Wróblewski, Jerzy Zakrocki

WARUNKI PRENUMERATY:
— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1986 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, i rotogr. 125 g, 86×122 cm, kl. V.

Zam. 298467 D-23
Nakład 430.370 egz.

ISSN 0137-8511

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

PELIKAN

Fot. Michał Wlaziński

CENA 25 ZŁ